



mały STER

KRAKÓW * MARZEC—KWIECIEŃ—MAJ—CZERWIEC * 1942 * ROK II * NR. 7—10

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA NIEWIEKOWYCH

U DZIKICH KACZĄT

U państwa Kwaków wielkie dziś święto. Najmłodszy synek, Lśniący Kaczorek, wypłynął po raz pierwszy na wodę.

— Kwa, kwa, czekajcie na mnie! — wołał do matki i starszego rodzeństwa.

Ale Szaropiórka, Płaskodzióbka i najstarszy Kwaczek nie raczyli się nawet oglądać. Tylko brązowo-szara pani Kwakowa podплыnęła do niego.

— Trzymaj się blisko mnie — rzekła — bo jastrząb może spaść na ciebie. I nie zbliżaj się sam do brzegu. Czasem czatuje tam na nas lis, nasz wróg.

Lśniący Kaczorek przeląkł się. Chciał zawrócić. Ale po chwili płynął dalej śmiało przez szuwary. Znał je już. Dookoła gniazda rósł ich cały gąszcz. Myślał, że poza tatarakiem, trzcina i otaczającą je wodą nic innego na świecie nie istnieje.

— Uwważaj, wpływamy na jezioro — zakwakała matka. — Zaraz pokażę ci, jak zdobywać pożywienie.

Trzciny przeredziły się. Wypłynęli na gładką wodę. Lśniący Kaczorek otworzył ze zdumienia dzióbek.

— Mamo, co to takiego? — zapytał.

— To nasze jezioro. A tam, daleko, las. Polecimy nad nim jesienią. To wszystko naokoło, to świat.

Dziwił się kaczorek, oj dziwił.

Wtem coś obok niego przemknęło.

Mała rybka. Ani się spostrzegł, jak dał nurka i wnet połknął smaczny kęs.

— Kwa, kwa... kwa, kwa! — wrzasnęła triumfalnie mama. — Szaropiórko! Kwaczku! Płaskodzióbko!! Lśniący Kaczorek złapał pierwszą rybkę!

Starsze dzieci szybko podплыnęły do najmłodszego braciszka i otoczyły go.

Smakowała ci? — pytały.

— Lepszy jest żabi skrzek, prawda?

— I ikra rybia jest lepsza, czyż nie?

— A jaki wyborny jest ślimak i różne owady!

— Prawdziwy z ciebie dziki kaczorek, zuch — powiedziała zadowolona mama.

Lśniący Kaczorek był bardzo dumny. Dał nowego nura, lecz z takim zamachem, że fiknął kozła. Jego szerokie łapki znalazły się nad wodą.

Śmiała się pani Kwakowa. Śmiały się kaczęta. I śmiał się także pan Kwak, który w tej właśnie chwili nadleciał.

— To nic, Lśniący Kaczorku — rzekł do speszonego synka — na pewno niedługo nauczysz się wszystkiego. A teraz, uwaga! — zwrócił się do wszystkich — Popłyniemy do naszych krewnych z wizytą.

I popłynęli. Pan Kwak, pani Kwakowa i cztery małe, dzikie kaczęta.

Aldona Pieterowa

Historyjka bez słów



STUDNIA

— Cóż to, dzieci, tak późno dzisiaj przychodzicie do szkoły? Już dawno po ósmej, a ja nie mogłam rozpocząć lekcji, bo przecież pół klasy brakowało. Nawet i ty, Mieczu, spóźniłeś się dzisiaj, choć dotąd jeszcze nigdy ci się to nie zdarzyło.

— Proszę pani, my wszyscy spóźniliśmy się dlatego, że coś dziwnego dzieje się we wsi. Przyjechali jacyś panowie autem i coś robią koło studni. Mają ze sobą różne przyrządy, oglądają przez nie wodę. Kazali też ludziom wodę ze studni wybierać. My byliśmy bardzo ciekawi, więc zatrzymaliśmy się, aby się przypatrzeć. Dlatego spóźniliśmy się do szkoły.

— No, a dowiedzieliście się przynajmniej, co oznaczają te rzeczy, które was tak zaciekawiły? Jaki jest powód, do czego służy całe to badanie wody?

— Nie, proszę pani. Nie wiemy, bo odpędzali nas i mówili, że zawadzamy, że kręcimy się pod nogami. Zresztą nikt z nas nie śmiał zapytać, bo ci panowie byli bardzo zajęci.

— No, to w takim razie ja wam objaśnię, co to wszystko ma na celu. Posłuchajcie! Jak wicie, w naszej wsi zdarzyło się kilka wypadków zachorowań na ciężką, zaraźliwą chorobę, zwaną tyfusem albo durem brzuszny.

— Tak, tak, proszę pani! U naszego sąsiada wszyscy leżą chorzy, a dwoje już zmarło — wyrwała się Małgośka.

— Już nie będą leżeć u siebie, ponieważ dzisiaj właśnie przyjedzie auto Pogotowia Ratunkowego i zabierze tych biedaków do miasteczka, do szpitala. Tam ich otoczą dobrą opieką, a wieś uchroni to od dalszego szerzenia się tej choroby.

— Ale skąd się tu wzięła u nas na

wsi ta zaraza? — zapytało kilkoro dzieci.

— Zaraz wam opowiem. Przed paru tygodniami przyszedł do wsi wędrowiec. Był bardzo zmęczony długą drogą, chory, ledwo włókł nogami. Widzieli ludzie, jak nachylił się nad studziennym wiadrem i spalonymi gorączką ustami pił wodę. Znalezione go potem bez przytomności i odwieziono do szpitala. Tam stwierdzono, że człowiek ten był chory na tyfus. W ustach i na rękach tego chorego znajdowały się małe grzybki zwane bakteriami, które wywołują tyfus. Te bakterie dostały się do wody i ci, co ją pili, zachorowali.

— To ci panowie szukali w studni bakterii tyfusu? — zawołał Mietek.

— Tak, ci panowie, których widzieliśmy przy studni, to komisja złożona z lekarzy. Mają oni ze sobą aparaty, za pomocą których mogą zbadać, czy istotnie bakterie tyfusu znajdują się w wodzie tej studni. Jeśli tak, to woda musi być wybrana, studnia oczyszczona i na jakiś czas zamknięta. W ogóle najlepiej nie pić wody wprost ze studni. Trzeba ją przegotować, gdyż przez gotowanie bakterie giną. W ten sposób można uniknąć zarażenia się.

— A proszę pani, czy tyfus plamisty jest to samo, co brzuszny? — zapytał Kaziek Kowalik.

— Nie, tyfus plamisty jest inną chorobą, również bardzo niebezpieczną i zaraźliwą, ale roznosi się nie przez nabycie zarazków z pożywieniem tak jak tyfus brzuszny, lecz przez ugryzienie przez wesz odzieżową. Tak jak od tyfusu brzuszego można się uchronić przez gotowanie i mycie potraw, tak od tyfusu plamistego można się uchronić przez przestrzeganie czystości. Pamiętajcie, że czystość to główna podstawa zdrowia.

— O, my wiemy proszę pani! Z początku to się śmiali z nas w domu, jak do jedzenia myliłmy ręce i co wieczór urządzaliśmy szorowanie i czesanie, tak jak pani kazała. Ale teraz to już i starsi myją się co wieczór za naszym przykładem. Imama krzyczy, że nie puści brudasów do pościeli.

— Tak, dzieci, to jest waszym obowiązkiem. W ogóle pamiętajcie, że przestrzeganie czystości, a więc częste mycie rąk gorącą wodą i mydłem, częste zmienianie bielizny, czystość w domu i koło siebie może uchronić ludzi od tej niebezpiecznej choroby.



DO CIOCI

Siadaj, Puku, do
skrzyneczki,
pojedziemy w świat!
Przez ulice i ścieżeczki
pojedziemy do
cioteczki.
Czyś z przejażdżki rad?

A siedź grzecznie, Puku drogi,
nie kręć się, jak bąk,
bo wypadniesz z hulajnogi
pod samochód jakiś srogi,
których pełno w krąg!

Przyznaj, Puku, razem ze mną,
że to miły pęd!
Taka jazda, to przyjemność!
Aż się w oczach robi ciemno...
Uważaj na skręt!

Wolę taką jazdę, Puku,
niżli bajek tom!
Kółka toczą się po bruku
coraz wolniej: stuku... stuku...
— Ot, i ciotci dom!

J. Morska

KAPUŚNIACZEK

Wicus i Marysia zamieszkiwali z mamą niski domek. Mieszkał z nimi także mały zajaczek, którego znaleźli jesienią w ziemniakach.

Zajaczek był sierotką. Nie miał mamy, ani rodzeństwa. Na pewno zgubił się, jak oni uciekali przed kopcami.

Z początku nie umiał nawet jeść. Dzieci musiały go karmić. Dawaty mu mleko łyżeczką. Potem chrupał już listki z kapusty, potem jeszcze inne, jarzyny. Pod szeroką ławą miał postanie.

Chował się w domu i przywiązał się do dzieci. Dzieci bardzo lubiły się z nim bawić. Nazwały go Kapuśniaczkiem.

Kapuśniaczek rozumiał doskonale, że tak się nazywa. Dzieci często mu śpiewały:

Hej! szaraczek, nieboraczek
Skacze sobie, figle stroi,
Taki mały Kapuśniaczek
Hej — nikogo się nie boi.

A Kapuśniaczek stawiał wtedy uszy i nad słuchiwał.

Gdy zawołały: — Kapuśniaczek! przybiegał od razu. Kładł po sobie długie uszy i pozwolił się głaskać. Jeżeli zaś usłyszał: — Kapuśniaczku, chrup! chrup! — przybiegał jeszcze prędzej, bo wówczas dostawał kapustę, którą bardzo lubił. Chrupał ją i bardzo był zadowolony.

Czas biegł szybko. Przeszła zima, przyszła wiosna. Dzieci ani się spostrzegły, jak Kapuśniaczek urósł na sporego zajaczkę. Był bardzo wesoły. Nie siedział już tak cichutko w kąci pod ławą. Urządzał sobie wyścigi po izbie. Pojedynkował się z psem Filutem. Jeżeli się o coś pogniewał, kopał nawet nogami i drapał. Raz puściły go dzieci do ogródka. Zaczęły się wtedy tak uganiać, że rozkopał wszystkie grządki Marysi. Ale dzieci się tym nie przejmowały. Śmiały się, bo je to bawiło.

Pewnego dnia mama powiedziała:
— Słuchajcie dzieci! Kapuśniaczek już urósł. Duży z niego zając. W sam raz na pieczeń.

Dzieci aż się przeraziły.

— Pieczeń z Kapuśniaczka? Nie będziemy jeść! Nie damy zabić Kapuśniaczka! Nasz kochany Kapuśniaczek! Biedny Kapuśniaczek! — wołały przejęte.

— Bardzo się cieszę, że takie macie dobre serduszka — rzekła mama. — Ale Kapuśniaczka nie można już chować w izbie. Jest już za duży. Tutaj brak mu powietrza i przestrzeni. Ciągnie go do lasu.

— To go zaniesiemy! Niech lepiej żyje w lesie — powiedziały dzieci.

I zaniósł Kapuśniaczka na łączkę pod lasem. Dzień był śliczny. Słońce świeciło. Trawa lśniła od rosy. Kwiatki kwitły.

Wicusz posadził zajączka na ziemi. Chwilkę Kapuśniaczek siedział. Ruszał wąsami wachał. Potem skoształ świeżej trawki. Wreszcie dał susa i ukrył się w trawie. Potem wystawił łebek i znowu się schował. Dzieci zaczęły wołać:

— Kapuśniaczek!

I Kapuśniaczek przybiegł. Pozwo-

lił się pogłaskać i znowu odbiegł. Tym razem już dalej. Stał na dwóch łapkach i rozglądał się na wszystkie strony. Za chwilę wrócił do dzieci. Bardzo mu się widocznie ta zabawa podobała. I tak odbiegał coraz dalej i coraz później wracał. Trawa była duża, dzieci nie mogły go już zobaczyć. W końcu straciły go z oczu.

Wołały jeszcze.

Miały nadzieję. Myślały, że przecież nie będzie chciał zostać sam w lesie. Że wezmą go z powrotem do domu. Ale nadaremnie. Zajączek nie wrócił.

W końcu Wicusz powiedział:

— Żal mi Kapuśniaczka, ale w lesie będzie mu lepiej. Niech już tu zostanie.

— Mnie także żal — odrzekła Marysia — ale tutaj będzie miał ładniejsze mieszkanie niż pod ławą w izbie. A może znajdzie swoją mamę?

— Może.

I wzięwszy się za rączki poszły dzieci z pustym koszyczkiem do domu. Po drodze śpiewały sobie:

Nasz szaraczek, nieboraczek
Gdzieś tam sobie w lesie hasa.
Nasz kochany Kapuśniaczek
Skacze sobie hej! hop! sasa!

Maria Zagórska



POLOWANIE NA MOTYLIE

— Stefku, Stefku, daj mi ten kwiatek — wołała mała Terenia, zobaczywszy żółtego motylka siedzącego na kwiatku róży.

Zanim Stefek usłyszał ją, zbliżyła się, wyciągnęła rączki, żeby zerwać kwiatek, ale „kwiatek“ pofrunął.

Terenia się rozplakała.

W tej samej chwili nadbiegł zdyszany braciszek, uzbrojony w siatkę na motyle. W siatce szamotał się już schwytany błękitny motyl, na próżno szukając otworu. Biedak łamał sobie skrzydełka, żeby się z niej wydostać. Stefek zamachnął się zręcznie siatką w powietrzu i schwycił żółtego motylka.

— Daj mi kwiatek, daj kwiatek! — wołała z płaczem Terenia.

— Tego ci nie dam, ale patrz, o, o, na liściu kapusty siedzi śliczny biały „kwiatek“.

I znów powtórzyła się ta sama historia. Terenia spłoszyła motylka, a Stefek go pochwycił.

— Dzieci, dzieci, dość już tego biegania, proszę przyjść na lekcję — zawołała panna Wanda.

Stefek i Ziuta wraz z kilkorgiem dzieci ze wsi, uczyły się w domu u panny Wandy, bo szkoła była bardzo daleko, aż w sąsiedniej wsi. Stefek z siatką na motyle, zdyszany, wpadł do domu i skierował się na górę, do szkolnego pokoju. Siatkę z motylami rzucił w kąt i szybko zajął miejsce w ławce.

Po dwóch godzinach lekcji, w planie była lekcja przyrody.

— Proszę pani, miała nam pani dziś opowiedzieć o motylach — powiedział Stefek.

— Tak, masz rację. Mam nawet

zapisane to u siebie w notesie. Ziu-
tko, zajdź do mnie do pokoju i przy-
nieś, tylko ostrożnie, oszkloną ga-
blotkę z motylami.

— Po co przynosić gablotkę, kiedy ja mam motyle?... Ale, gdzie ja je podziałem? Acha, już wiem.

I Stefek pobiegł na korytarz, skąd wrócił z siatką.

— Ty masz motyle? — zdziwiła się panna Wanda — A skądże je wzięłeś, gdzież one są?

Stefek otworzył siatkę.

Kiedy ją rozwinął, ukazały się w niej trzy martwe motyle z połamanymi skrzydełkami i z podwiniętymi, pogniecionymi nóżkami.

Panna Wanda z wyrzutem spojrziała na chłopca.

Stał zaczerwieniony ze spuszczo-
nymi oczami.

— No, cóż, bardzo się cieszysz z udanego polowania? A przecież prosiłam, żebyś schował siatkę i zapomniiał o tej brzydkiej zabawce. Nie usłuchałeś mnie, a teraz sam się przekonałeś, że miałam rację. Przepowiedziałam ci, że tak wyglądać będzie twoja niemądra zabawa — twoje polowanie.

— A pani też ma okazy motyli w gablotce — nieśmiało odezwał się Stefek.

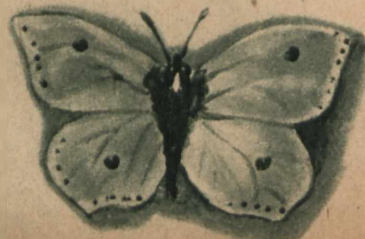
— Okazy, potrzebne mi do lekcji przyrody, zebrałam nie robiąc im wielkiej krzywdy. Motyle żyją bardzo krótko, niektóre jeden dzień za-
ledwie. Przed zaśnięciem są bardzo słabe, ledwo poruszać się mogą tak, że je można schwycić w ręce. Uśpi-
łam je eterem i wtedy gdy odrę-
twiały i nic nie czuły, wbiłam je na szpilki. A ty, pomyśl Stefku, złapa-



Bielinek kapustnik, samczyk



Modraszek



Cytrynek

leś je i nie pozwoliłeś im nawet tak króciutko pożyć. Rzuciłeś w ką siałkę, pogmiotłeś biedne owady i na cóż to? Zrobiłeś to dla zabawy i nawet przyjemności z tej zabawy nie masz!

Chłopiec milczał. Panna Wanda widząc jego zasmuconą minę zrozumiała, że żałuje tego, co zrobił. Stefek nie był złym chłopcem.

— No, dość już. Myślę, że to twoje ostatnie polowanie na motyle. Podaj mi siałkę i ostrożnie powyjmuuj je. Dziś poznamy twoje okazy i przyjrzymy się im. Ten błękitny motylek, to „modraszek“. O, pofarbowałam sobie palce na niebiesko, bo skrzydełka motyli pokryte są delikatną łuską-pyłkiem, która przy dotknięciu zsypuje się.

— Taką łuską jak mają ryby? — spytała Ziuta.

— Ależ nie. Łuska ta jest drobna jak pyłek. Ten żółty to „cytrynek“, bo jest żółciutki jak cytryna. A ten biały z paseczkiem ciemnym u szczytu skrzydełek — to bielinek kapustnik. Przyjrzyjcie się teraz jego nóżkom i policzcie je.

— Ma sześć nówek! — wołały dzieci. — A jakie mocne są te nóżki, jakie wysokie...

— Spójrzcie, stopki ma zakończone dwoma pazurkami.

— Po co mu te pazurki? Żeby się bronił jak kot?

— Pazurkami motyl trzyma się płatków kwiatka, kiedy z kielicha ssie sok kwiatowy i liże kwietny pyłek pyszczkiem, który wygląda, jak trąbka. Nic innego nie jada.

— Czy on ma jedną parę skrzydełek, tylko z takim przedziałkiem? — spytał Stefek.

— Nie, ma dwie pary skrzydełek, zrosniętych z sobą, które poruszają się razem. A teraz odwróćmy go do góry nóżkami. — Widzicie wyraźnie, że korpus motylka składa się z trzech części: główki, tułowia i odwłoku. W główce osadzone są oczka, umieszczony jest pyszczyk i para czułków-macek. Przed zaśnięciem motyl-samiczka składa jajeczka, wybierając od razu takie miejsca, żeby jej dzieci gąsieniczki, kiedy się wylęgą wiosną, miały co jeść, a więc zazwyczaj przykleja je do kory drzewa, na którym jest dużo liści. Samiczka „bielinka kapustnika“ składa na przykład jajeczka na liściach kapusty. Gąsienice bielinka, straszne żarłoki, niszczą całe pola kapusty. Gąsienice motyla z kolei przeobrażają się w całkiem nieruchome poczwarki, z których po pewnym czasie wyfruwa piękny motyl, którego nie należy, Stefku, chwycić w siałkę i bezmyślnie pozbawiać życia.

Romana Zawistowska



gródek

Mam ogródek niedużutki,
metrów cztery w kwadracie,
a co w nim się jarzyn rodzi,
pojęcia nie macie!

Gdy wiosenne błysnie słońce,
ziemię zmarzniętą ogrzeje,
zaraz kopię zagon czarny
i sieję, i sieję!

Tu rzodkiewka jest czerwona,
dalej biała ze szpinakiem,
potem marchew i pietruszka
okraszone makiem.

A na końcu razem z koprem
Co to rośnie jak bór jaki,
są selery, kalarepa
i także buraki.

A ponieważ mój ogródek
w obszar nie bogaty
brzegiem sadzę bób, cebulę
i fłance sałaty.

Teraz wiecie, jakie kwiatki
w mym ogrodzie rosną,
gdy ogrzeje czarną ziemię
słońce wespół z wiosną.

J. Kuśmierkiewicz



Obrazek sceniczny w jednym akcie
Osoby: Duszki leśne. — Dzieci z półkolonii. — Pani.

Scena przedstawia leśną polankę. Duszki skaczą i figlują na ścieżce. Po chwili rozlegają się z dala głosy dzieci.

STARSZY DUSZEK (nad słuchując)
Hejże, śmieszki! Hejże, duszki,
na bok z ścieżki, na bok z dróżki,
bowiem słyszę jak z oddali
cała hurma dzieci wali!

DUSZKI (razem wesolo):
Jak uciekać — to od razu,
przywykliśmy do rozkazu!
(Usuwają się w kącik sceny)

STARSZY DUSZEK
O, już idą! Już są blisko!...
(słychać śpiew coraz głośniejszy)

DUSZKI
Będziem mieli uroczyisko!
GŁOS PANI (za sceną):
Tylko, dzieci, prosto drogą,
a nuż... wilki tu być mogą!...
DUSZKI (śmiejąc się):
...prędzej duszki, co nie szkodzą!...

STARSZY DUSZEK:
Sza!... Ni słówka! Już nadchodzą!
DZIECI
(wchodzą parami, z radością):
Jak tu miło, jak tu błogo!

PANI (rozglądając się dokoła):
Tutaj wszyscy spocząć mogą!

JEDNA Z DZIEWCZYNEK
(sposprzega duszka, z trwogą):
Och! Ach! Pani,
całam w trwodze...

PANI:
Co? Gdzie? Czemu?
PIERWSZA DZIEWCZYNKA
(wskazując w stronę duszków):
Tam... Przy drodze...

CHŁOPIEC:
Tam... za drzewem... obok dróżki!
(wszyscy patrzą w tę stronę)

STARSZY DUSZEK
(wysuwa się naprzód):

Nie bójcie się!
To my — duszki!...

DZIECI:
Co za duszki? Co za zjawy?

DUSZKI:
Niech podejście, kto ciekawy.

PIERWSZA DZIEWCZYNKA:
Choć postacie śmieszne, drobne,
jednak do nas są podobne!

JEDEN Z CHŁOPCÓW:
Choćbym nie chciał,
śmiać się muszę,
patrząc na te pióropusze!

DRUGA DZIEWCZYNKA
A te rączki, a te nóżki —
jak lodyga u ostróżki!!!

STARSZY DUSZEK (z uśmiechem):
Bo też cała praca skrzatów —
strzec, pilnować leśnych kwiatów!

PANI:
Nikt nie zniszczy z nas kwiateczka,
choć potańczym do kółeczka,
choć po całym wokół lesie
piosnki echo się rozniesie!

DZIECI (śpiewają razem):
W cichym gaju wśród polanki
rosły dzwonki i sasanki!





Poiła je nocką rosa,
dnem zaś śmiały się niebiosa,
a to słonko, co hen płonie —
całowało kwiatków skronie.

STARSZY DUSZEK

(z zachwytem, klaszcząc w dłonie):
O, jak pięknie, jak wspaniale!
(skrzaty okazują wielką radość)

JEDNO Z DZIECI

(do towarzysza, trącąc go łokciem):
Patrz, jak cieszą się krasnale!

TRZECIA DZIEWCZYNIKA:

A ten jeden... tam — pod skałą —
aż otworzył buzię całą
i wytrzeszcza śmieszne oczy!

CZWARTA DZIEWCZYNIKA:

O widzicie, jak tamten skoczył!

STARSZY DUSZEK:

To z zachwytu i z radości,
że zobaczył tyle gości,
że piosenką brzmi od rana
i las nasz i polana...

PANI

(w stronę starszego Duszka):

Na majówce + w szkolne święto —
każdy twarz ma uśmiechniętą!

DZIEWCZYNIKI:

Każde serce drży nadzieją!

CHŁOPCY:

Wszystkie oczy promieniają!

WSZYSTKIE DZIECI:

(podają sobie ręce, stają w kółku):
Wszystkie dłonie łączy zgoda!

STARSZY DUSZEK

(wyciągając ręce w stronę dzieci):

Czy możemy swoje podać
i w kółeczku tym przez chwilę
zabawić się z wami mile?

DZIECI:

Ależ owszem! Ależ chętnie!
(wszyscy biorą się za ręce)

PANI (zachęcająco):

Tylko żwawo!

STARSZY DUSZEK:

Tylko skrzątnie!

DZIECI:

Raz do lewa!

DUSZKI:

Raz do prawa!

PANI:

To nazywa się zabawa!

DZIECI (w stronę Pani):

...słodkie duszki!

SKRZATY

(w stronę Starszego Duszka):

...miłe dzieci!

STARSZY DUSZEK

(spoglądając w górę):

Nawet słonko jaśniej świeci!

PANI (spoglądając na zegarek):

Nie spostrzegłam, że już pora...

Już niedługo do wieczora
i z majówki wracać trzeba.

DZIECI:

Szkoda, że już trzeba nam do chaty!

Dowidzenia, drogie skrzaty!

Dowidzenia, lesie miły!

DUSZKI:

Jak dobrześmy się bawiły!

Żegnajcie nam dzieci miłe!

Wróćcie do nas w wolną chwilę!

Przybiegnijcie niezadługo!

WSZYSCY RAZEM:

Dowidzenia! Nie na długo!

Edward Klonecki

Sobótki




gnista kula słońca wysoko lśni na firmamencie. Jest duszno i upalnie. Dziś ostatni dzień wiosny. Lato zapowiada się skwarne.

Na wzgórkach wśród łąk skoszonych i pastwisk gromadzą chłopcy słomę i chróst i składają w stosy. Wieczorem będą palić sobótki. To największa dla nich uciecha. Nie mogą się jej doczekać.

Przez cały rok zbierali stare skrabachy¹⁾, które służyły do zmiatania stajni. Co się która zdarła, to już ją chowali — na sobótki. Leżały przez tyle miesięcy, więc wyschły jak szczapy. Będą płonąć niczym pochodnie. Kto nie miał miotły, to stare snopki z dachu zerwane zatykał na kij i czekał na hasło.

Gdy zmrok zapadł pokryły się pola rojem ruchliwych świateł. Najpierw buchnął w górę wielki ogień na najwyższym wzniesieniu za wsią. To hasło.

Zaraz zabłyśły małe ogniska na Brzezowskim gościńcu.

Wychynęły z ciemności i sunęły jeden za drugim po pochyłej, górskiej szosie — coraz wyżej i wyżej, jak duchy, wychodzące z otchłani, pięły się ku niebu. Wreszcie zatrzymały się na znacznej wysokości i rozpoczęły jakieś dziwne igraszki. Biegały tam i z powrotem, wznosiły się powoli w górę i zapadały w dół. Wytryskiwały w niebo jak rakiety, zataczały łuki jak komety, kołowały, tańczyły, migotały, gasły i znów się zapalały. Weseliły się.

To ich święto.

A za nimi dopiero roztańczyły się ognie po wszystkich polach, leżących w dolinie. Skaczą z miejsca na miejsce, tu znikną — tam zabłyśną, błędzą niby mierniki²⁾ po bagnach.

Widzi to mały Grzesiek, stojący na ławce pod oknem, wciska nos w szybę, nóżkami tupie i wykrzykuje co chwilę:

— Siobótki, siobótki! Mamo, siobótki palą! Puść mnie mamo na pole. Ja chcę palić siobótki...

— A leć już, leć, ino mi zaraz wracaj — mówi zniecierpliwiona matka.

Grzesiek się wyrwał, jak ptaszek z klatki. Już jest na łące. Już dopędził starszych, biegnących z płonącym snopkiem w pszenicę. Trzeba ją opalić, żeby się nie śnieciła³⁾. Drą się wszyscy na całe gardło:

— Sobótki! Sobótki!

Pszenica jest już dość wysoka. Zaplątał się w nią Grzesiek i bęc! Leży. Ale już znów jest na nogach i biegnie dalej. Ino mu się koszulina z tyłu kiwa na boki.

— Siobótki! — woła za innymi.

Wreszcie zapalają się stosy. Płomień bucha wysoko i oświeca rozległe łąny. Rozpędzają się chłopcy i przeskakują ogniska porywając za sobą języki płomieni i kłęby dymu. W końcu chwytają się za ręce i tańczą w koło ginącego stosu.

Wkrótce wszystko pograża się w ciemności. Wracają chłopcy do domu. Grześkowi błyszczą oczy. Podskakuje przez całą drogę i klaszcząc w dłonie wykrzykuje:

— Siobótki! Siobótki!

Leopold Kołodziej

¹⁾ miotła z pręci brzoźowych.

²⁾ błędne ogniki.

³⁾ śnieć = choroba zboża.

ZAGONEK MAGDALENKI

Magdalena idzie dziś z mamą na działkę. Bo teraz wszyscy mają działki. Gdzie tylko przedtem był jakiś nieużytkowany kawałek ziemi, teraz równo, pięknie rozłożyły się szeregiem czarne, świeżo przekopane, zagrabione zagonki. Aż pachnie całe miasto świeżością ziemi. Aż serce rośnie.

Magdalena biegnie przed mamą i podskakuje uradowana:

— Mamo, spójrz! Czy to nasze zagonki, tam na lewo?

— Tak, Magdziu. Ale nie skacz tak. Zmęczysz się, a musimy dziś obsiać nasze pole.

— Ach, mamo, ja się tak cieszę, że i my mamy nasze pole! Dawniej myślałam, że pole można mieć tylko na wsi. Że w mieście — to nie. Ach, mamo!

I Magdalena znów skacze i znów się cieszy z tego swojego pola.

Bo jak tu się nie cieszyć! Pełno ludzi krząta się około poletek. Słońce świeci, gwarno wokoło. Tu polewają zagonki, tu sieją, tu jeszcze kopią...

— Magdziu, stań przy koszyku, ja wezmę nasiona, a ty popilnujesz.

I mama przebiera torebeczki z nasionami.

— Och, nie, mamo! Ja nie chcę stać. Wolę już nosić ten koszyk za mamą i patrzeć, jak mama będzie siała.

Idzie więc Magdalena za mamą i patrzy. Najpierw mama patyczkiem robi w ziemi rowki. Potem wyjmuje z kieszeni torebeczkę z namalowaną na niej piękną marchewką.

— Widzisz, Magdusiu, tu posiejemy marchew.

Magdalena nagle poważnieje.

Jak to mama powiedziała? Mama powiedziała posiejemy. My obie. Mama i ja. Ja będę siać marchew. Jak

to dobrze! Jak wspaniale! — rozmyśla radośnie Magdalena i głośno mówi:

— Mamo, ale ja sobie naznaczę, gdzie będzie moje sianie.

— A naznacz sobie. Weź sobie najlepiej te dwie pierwsze grządki, tylko ich nie popsuj. Masz tu nasionka i rób tak, jak ja.

Magdalena patrzy na nasionka, które jej mama nasypała na rękę. Nasionka są maleńkie, szare i suche. Patrzy Magdalena to na nasiona, to na ziemię; to znów na ziemię, to na nasiona. Jakby nie mogła czegoś zrozumieć.

— Bo naprawdę — myśli sobie Magdalena — jak to jest? To chyba niemożliwe. To chyba niemożliwe, żeby z takiego nic, żeby z takich samych proszków wyrosła marchew. Marchew — taka duża, rumiana i słodka! Taka twarda, żółto-żłota, z zieloną kiścią naci! Pewnie mama musiała się pomylić?

I Magdalena chce się o to zapytać mamy, bo mama właśnie podchodzi...

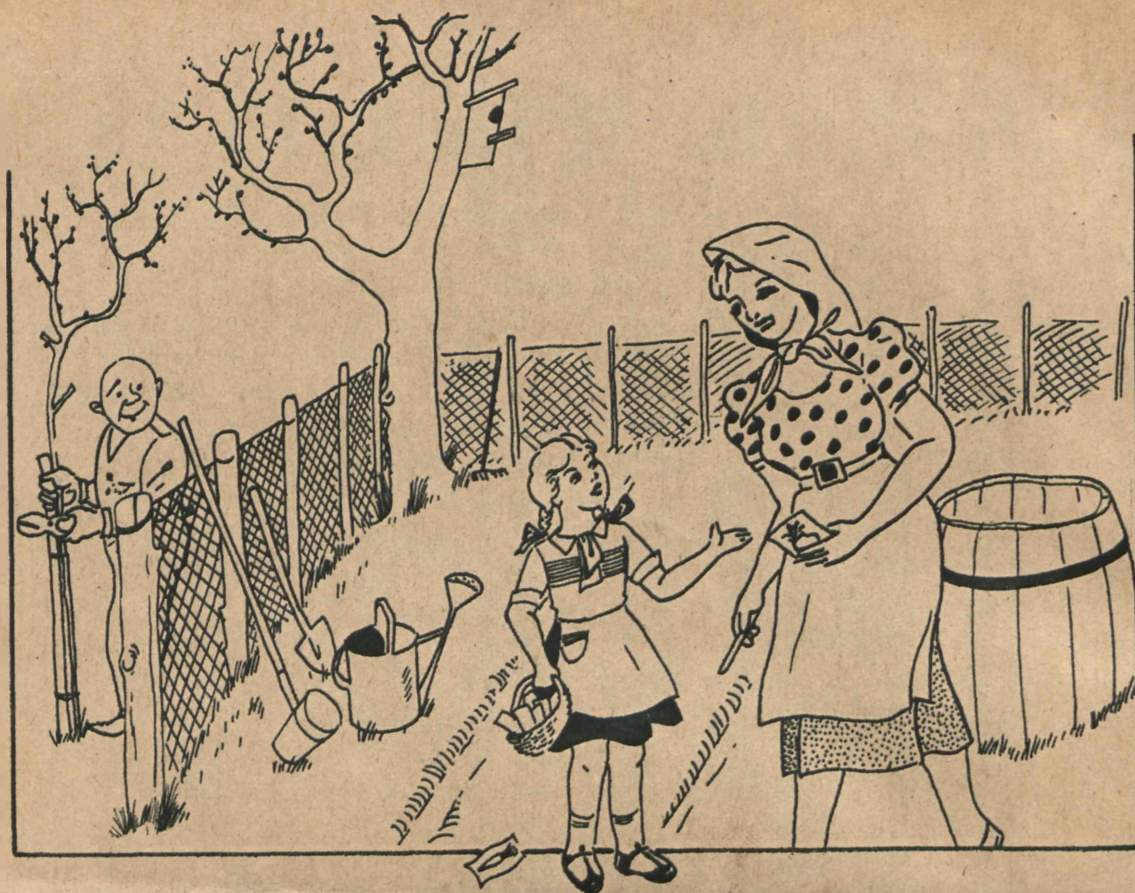
— Dajno mi, Magdusiu, marchew, a masz tu te nasionka. Posiejesz sobie rzodkiewkę. Sama porób takie rowki, o widzisz, takie jak ten. Będziesz umiała?

— Będę mamo — mówi cicho Magdalena, zajęta swoim myśleniem.

I nachylona nad czarną ziemią rozmyśla uporczywie, po swojemu:

— Ziemia... no, taki czarny, pulchny, wilgotny piasek. A wsadzić w nią jeden kartofel wyrośnie tyle! Kartofel — to kartofel, cebula — to cebula, groch — to groch, to w porządku. Ale marchew?! Ale rzodkiewka?!

Bo w torebce, którą mama dała są jakieś okrągłe ziarenka i z tych



ziarenek będzie rzodkiewka?! Czerwona, chrupiąca, pyszna?!

Magdalenka patrzy na ziemię. Patrzy na ziemię i bardzo się dziwi.

— Ziemia... Ta zwykła, czarna ziemia czyni takie cuda? I wszystko — ta ziemia!

Magdalenka nachylona nad zagonkiem wolno sypie ziarenka rzodkiewki w wyżłobione patykiem rowki. A potem zasypuje je ziemią. Od je-

dnego końca zagonka do drugiego końca, aż wysiała wszystkie nasionka.

Zmęczyła się trochę Magdalenka, ale jest radosna i dumna. Radosna, że ma swój zagonik, dumna, że poznała tajemnicę ziemi. Wyprostowana stoi teraz nad swoim zagonikiem i patrzy na ziemię z cichym, niewypowiedzianym uwielbieniem.

J. Radzyńska

PTASI WŁÓCZĘGA

Przez zieloną dąbrowę szedł Grześ ze swą młodszą siostrzyczką, Zosią. Nagle skądś, sponad głowy odezwała się kukułka. Dzieci zadarły noski w górę i szukały oczami ptaka.

— Co to? — spytała ciekawie dziewczynka.

— Nie wiesz? — zdziwił się chłopiec. — Kukułka. O, patrz tam! — wskazał wysokie drzewo.

— Gdzie? Tam? — patrzyła na rozwidlenie gałęzi, w których pliszka uwiła sobie gniazdo i wychylała z niego łebek.

— Nie. To przecież pliszka. Wyżej, na gałęzi... Kukułka nie ma przecież gniazda.

Zosia dostrzegła już kukułkę. Siedziała prawie na samym wierzchołku

i wołała długo, przeciągle: ku-ku, ku-ku...

— Ona nie ma gniazda? — powtórzyła niedowierzająco Zosia. — A dlaczego?

— Za karę — poważnie odpowiedział Grześ.

— A co ona zrobiła złego?

— O, to długa historia.

— Opowiedz — prosiła.

Zosia złożyła ręczki jak do modlitwy. Lubiła bardzo bajki, legendy, opowieści, a Grześ umiał ich takie mnóstwo.

Grześ posadził Zosię na wzgórku i zaczął opowiadać starą bajkę.

...Kiedy Pan Bóg stworzył świat, a więc ziemię, niebo, słońce, gwiazdy, drzewa i kwiaty, stworzył także i ptaki: kosy, szczygły, skowronki, pliszki, drozdy, wróble, jaskółki, kukułki, bociany i wiele, wiele innych. Jedne ptaki były duże i mocne, jak na przykład orły i sępy; inne miały śliczne pióra, jak pawie; niektóre umiały pięknie śpiewać jak słowiki, skowronki; inne znów doskonale polować, jak jastrząb i nietoperz.

Stłoczyło się całe skrzydlate bractwo u tronu Pana Boga i czekało na swój odlot na ziemię. Było ich bardzo dużo. Kolejno zbliżały się ptaki do tronu Stwórcy. Z boku siedziała kukułka i słuchała, co dobry Bóg mówi im na drogę.

Pierwszy przyszedł bocian. Stwórca rzekł do niego:

— Dałem ci długie, obciążone twarde skórą nogi, duży ostry dziób i długą szyję, abyś brodząc po łąkach i mokradłach szukał sobie pożywienia. Dom swój zbudujesz na szczycie drzewa, na dachu chaty lub na stogu siana. Często będziesz zastawał gniazdo przygotowane już przez ludzi, którzy będą wierzyli, że sprowadzasz im szczęście i dobrobyt.

Bociek zaklekotał radośnie, wzblił się w niebo i sfrunął na ziemię. Kukułka zaś pokręciła dziobkiem, szepcząc do dzięcioła:

— Nie rozumiem, czego on się tak cieszy? Mieszkać na dachu, gdzie wiatr hula i iskry z komina lecą. Jeszcze się przeziębą, albo spali. I tak będzie miał katar, gdy będzie ciągle za żabami łąził po wodzie. Też pożywienie: żaby i ślimaki.

Ucichła, bo u stóp Pana Boga czekał na odprawę skowronek. Był mały, szary i zupełnie się kukułce nie podobał. Bóg popatrzył na niego dobrotnie i powiedział:

— Jesteś mały, szary i dlatego będziesz mieszkał na roli. Twoja barwa ochroni cię przed wzrokiem jastrzębia. Gdy słońce wzejdzie wysoko i ziemia zacznie pulchnieć na wiosnę, a człowiek pójdzie za pługiem, będziesz mu śpiewał, aby raźniej mu było pracować.

Skowronek zadzwonił radośnie i spadł na ziemię maleńki jak kamyczek, a kukułka znów zaszemrała zdziwiona, jak można cieszyć się z gniazda w polu. Przecież nóżki można i skrzydełka zabłocić i narazić się na schwytanie przez mysz lub lisa chytrego.

Pan Bóg słyszał to wszystko, nic jednak nie mówił jeszcze buntownicze. Wywołał z kolei jaskółkę, wskazał jej jako miejsce na uwicie gniazdu: okap, wieżę kościoła, dzwonnice. Miała tam zbudować sobie mieszkanie z błota, ździebeł słomy, siana i piórek. Jaskółka podziękowała kornie i pięknym ześlizgiem poszybowała na ziemię.

Kukułka znów pokiwała łebkiem. Przecież jaskółce pod okapem wiejskiej chaty będzie ciemno i duszno. Czyż po to jest się ptakiem, aby tak mieszkać?

Przed obliczem Stwórcy stanęła teraz rybitwa, potem dzika kaczka i mewa. Te ptaki posłał Bóg nad stawy, rzeki i morza, aby osiedliły się w wiklinach, na brzegach i wyspach. Pożywienia miały sobie szukać w wodzie.

Kukułka usłyszawszy to szepnęła do kosa:

— Nie założylabym nigdy gniazda w wiklinach, ani na żadnej wyspie. A nuż rzeka wzbierze i zaleje brzeg lub łachę piaszczystą, albo żarłoczny bocian porwie pisklę lub złe dzieci zniszczą gniazda, lub wiatr porozwłóczy je po wodzie. O nie, jakem kukułka, nie zgodziłabym się na takie miejsce.

Znudziło się wreszcie Stwórcy słuchać szemrania kukułki. Kazał jej stanąć przed sobą i zapytał:

— Widzę, że nie podobało ci się żadne z dotychczasowych miejsc, które wyznaczyłem tamtym ptakom. Powiedz mi więc, gdziebyś chciała się udać?

Kukułka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ciągnął więc Stwórca dalej:

— Może by ci łąka odpowiadała?

Kukułka potrząsnęła łebkiem.

— Tam nie ma żadnej osłony przed deszczem...

— To w dąbrowie może?

— Dziękiłoby mi o świcie stukaniem budził...

— A więc w leszczynie?

— Wiewiórki harcowałyby mi nad głową...

— No to chyba w gaju brzoźowym, lub w krzakach dzikiego bzu?

Kukułka nie śmiała już oponować. Wśród ptaków podniósł się szmer. Wybąkała wreszcie:

— Panie, posłałeś tam już słowika. Czemże zdołam zaćmić jego głos, którym obdarowałeś go tak szczerze?

Rozgniewał się Bóg. Błyskawice ukazały się w jego oczach, a słowa zabrzmiały jak grzmoty:

— A więc idź na ziemię krnąbrna, i sama szukaj sobie miejsca, które by ci się podobało. Za karę jednak wiedz: błąkać się będziesz wszędzie, nigdzie miejsca nie zagrzejesz, będziesz przenosić się z gaju do gaju, będziesz ptakiem-włóczęgą bez własnego gniazda!

Kukułka schyliła łebek w trwodze i pofrunęła na ziemię. I od tej pory jest ptakiem-włóczęgą...

Grześ zamilkł. Zosia siedziała zasłuchana. Kukułka odfrunęła już widocznie, bo odezwała się teraz gdzieś daleko, na skraju dąbrowy.

— No, dobrze — rzekła dziewczynka — to gdzie mieszkają małe kukułczęta?

— Różnie bywa — odparł Grześ. — W zeszłym roku znalazłem pod drzewem, na którym gnieździły się pilszki, małe, martwe pisklęta. W gnieździe panoszyła się świeżo wylęgła kukułka. Tam widać matka jej podrzuciła jajo, obcy ptak je wysiedział, wykarmił podrzutka i w nagrodę za to zastał kiedyś swoje dzieci martwe, wyrzucone z gniazda przez kukułcze pisklę.

— No, a co jego matka na to?

— Kukułka nie zna przeważnie swoich dzieci. Jedno jajko złoży tu, drugie tam. I dzieci nie wiedzą, kto jest ich matką. Wołają tylko ciągle na siebie i nie mogą rozeznaczyć nawzajem. O słyszysz?

Z daleka odezwało się kukanie.

— Co ona tak ciągle woła? — szepnęła Zosia.

— Przysłuchaj się i powtarzaj razem z nią. Mnie się zdaje, że krzyczy ciągle: syn-ku, syn-ku, syn-ku...

Dziewczynka otworzyła w zdumieniu usta:

— Rzeczywiście. O, a tam odpowiada jej inna kukułka: tu-tu, tu-tu... Na pewno się teraz odnajdą i poznają.

Grześ potrząsnął głową:

— Nie, Zosiu. Nie odnajdą się i nie poznają. Tak już musi być. Legenda głosi, że będzie tak zawsze. Kto nie umie bowiem być zadowolony z tego, czym go Bóg obdarzył, musi ponieść zasłużoną karę. A kukułka nie była z niczego zadowolona. Dlatego więc cierpi.

Stefan Odrowąż

(Redakcja prosi p. S. Odrowąża o podanie adresu).

WYCIECZKA

Dzieciarnia od rana
do okien spoziera,
wygląda na niebie słoneczka.

Mgły pierzchły... Wyjrzało...
Więc radość dokoła —
Wycieczka! Wycieczka! Wycieczka!

Na pole, na łąki,
gdzie kwiatów tysiące
— i białe, i żółte... Ach tyle!...

Nad nami radośnie
śpiewają skowronki
i barwne latają motyle...



A kiedy urocza
przemienie godzina
— i każde z nas wracać już musi —
dla siebie najmilsze
zachowa wrażenia,
a zioła — w podarku mamusi.

J. Kańska

Zielone serduszko.

Elżunia chodziła do przedszkola, Małgosia chodziła już do szkoły. Ale wracały do domu razem i mała siostrzyczka musiała czekać na starszą na dziedzińcu przed szkołą.

Nic tam nie było ciekawego: duży plac, na którym bawią się dzieci w czasie szkolnej przerwy. Pośrodku było drzewo otoczone drewnianą ławką, a między drzewem a ławką trochę zielonej trawy pokrytej grubą warstwą szarego kurzu. Gdyby można było czekać te dwie godziny na rynku, to byłoby zupełnie co innego.

Elżunia była niedawno z mamusią na rynku i nigdy nie zapomni tego ranka.

Powietrze było chłodne, świeże i pachniało cebulą, pietruszką, wszystkimi jarzynami i warzywami, których pełne kosze stały na wilgotnej ziemi. Pęczki czerwono-białych młodziutkich rzodkiewek, pierwsza kapusta o jasnej, wpadającej w błękit zieleni, ogromne stosy różowo-sele-

dynowego rabarbaru, wielkie pióropusze ciemnozielonych szczypiorów zakończonych małymi, białymi cebulkami — to była jedna część rynku. Obok stały beczki pełne śledzi, ryby pływały wesoło w małych cebrzykach, na drążkach wisały kawały bladuróżowego i ciemnoczerwonego mięsa, połacie białej słoniny. A dalej znajdowały się kojce pełne wrzaskliwych kur, kaczek, perliczek i białych, spokojnych gęsi. Tam można było patrzeć na wszystko godzinami i nigdyby to się nie znudziło, a tutaj...

Nic nie było ciekawego na dziedzińcu szkolnym i Elżunia nudziła się ogromnie aż do przyjścia pani, która uczyła Małgosię.

Pani przyszła dnia pewnego i jakby nigdy nic, usiadła obok Elżuni na ławce i zaraz wszystko zrobiło się bardzo ciekawe i interesujące.

Elżunia dowiedziała się, że drzewo, pod którym siedziały obie, to lipa.

Lipa jeszcze nie kwitła, ale przecież, jak były zaziębione obie z siostrzyczką, to piły kwiat lipowy zaparzony jak herbatę. A mamusia pokazywała małe, złociste kwiatki, które mimo ususzenia zachowały prześlizczny kształt i słodki, subtelny zapach.

A drzewo lipowe białe jest i miękkie, robią z niego wiele różnych rzeczy, czasem skrzypce. Tu już Elżunia spojrzała na zwykłe drzewo zupełnie innym wzrokiem.

— Skrzypce?

Tatusz gra czasem wieczorami prześlizczne melodie. Jak zamknąć oczy, to się widzi i las, i rzekę, i niebo błękitne pełne białych obłoków, i drzewa zielone... Może to lipy? Jeżeli skrzypce robi się z lipowego drzewa, to może dusza drzewa pozostała w skrzypcach?

A potem pani zerwała jeden listek, położyła go na odwrotnej stronie zielonego, glansowanego papieru, z którego Elżunia robiła zabawki w przedszkolu, obrysowała ołówkiem, wycięła nożyczkami i nakleiła na szarej okładce zeszytu Elżuni śliczne, małe zielone serduszko.

Elżunia nie rozmawiała więcej z tą panią. Widywała ją tylko z daleka. Ale ile razy patrzyła na małe, zielone serduszko, tyle razy uświadamiała sobie, że człowiek, który myśli, nigdy naprawdę się nie nudzi. Trzeba tylko patrzeć uważnie, a wszędzie dostrzeżemy tyle ciekawych rzeczy. Wszędzie. Obojętne, czy to będzie wesoły, różnokolorowy rynek czy skromny dziedziniec szkolny, na którym rośnie tylko jedno drzewo.

Krystyna Chruścielska

POŻEGNANIE SZKOŁY



al mi cię opuszczać szkoło,
choć na dwa miesiące!
Byłaś dobra i wesoła,
jakby samo słońce...

Byłaś dla mnie drugim domem
i drugą rodziną —
będą smutno mi ogromnie
dni bez ciebie płynąć.

Dwa miesiące! Dwa miesiące!
Przez ten kawał czasu
będę się radować słońcem
i zapachem lasu.

Kocham słońce, kocham lasy
i letnią wesołość,
lecz nad wszystkie te wywczasy
ciebie kocham — szkoło!

Chociaż żegnam ciebie dzisiaj,
nie będę się smucić,
bo odchodzę z jedną myślą:
że do ciebie wrócę...

J. R.

Okładkę projektował Czesław Ługowski.

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru”.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersitätsstr. 19 a. Administracja „Steru”, tel. 104-04.

Jeden nr „Steru” kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.

Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.